

№ 26.

Warszawa.

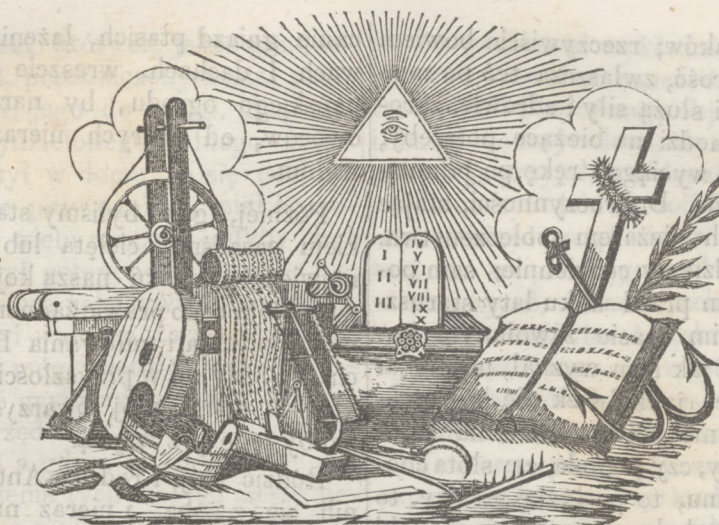
Dnia 17 (29) Czer-

wca.

1856.

Niedziela

**7 PO ŚWIĄT-
KACH.**



KANTOR GŁÓWNY

W Drukarni J. Unger
przy ulicy Krakowskiej-
Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA

rocznie w Warszawie rsr.
1 k. 80, półrocznie k. sr.
90, kwartalnie k. sr. 45,
miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Ce-
sarstwie rsr. 2 rocznie, a
z kopertami rsr. 4. Kto
zaś już prenumeruje w ko-
percie jedno z pism pe-
riodycznych Warszaws.
płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie
obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

*Boże, któryś miłującym Ciebie, dobra niewidome zgotował, włój w serca nasze żądze
Twój miłości, abyśmy Ciebie we wszystkim i nadewszystko miłując, obietnic Twoich, które
wszelkie pragnienie przechodzą, dostąpili. (Modlitwa kościelna na niedzielę 7mą po Świąt-
kach).*

Dobrodziejstwa Boga.

Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary?
Czego za dobrodziejstwa, którym nie masz miary?
Kościół Cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie,
I w otchłaniach, i w morzu, na ziemi, na niebie.

Złota też wiem, nie przagniesz, bo to wszystko
Twoje,
Cokolwiek na tej ziemi człowiek mieni swoje,
Wdzięcznem Cię tedy sercem, Panie, wyznawamy,
Bo dla Cię przystojniejszej ofiary nie mamy.

Tyś Pan wszystkiego świata, Tyś niebo zbudował,
I złotemi gwiazdami ślicznieś uhaftował,
Tyś fundament założył nieobeszłej ziemi,
I przykryłeś jej nagość zioly rozlicznymi.

Za Twojem rozkazaniem w brzegach morze stoi,
A zamierzonych granic przeskoczyć się boi,
Rzeki wód nieprzebranych wielką hojność mają,
Biały dzień, a noc ciemna swoje czasy znają.

Tobie kwoli rozliczne kwiatki wiosna rodzi,
Tobie kwoli w kłosianym wieńcu lato chodzi,
Wino jesień i jabłka rozmaite dawa,
Potem do gotowego gnuśna zima stawa.

Z Twój łaski nocna rosa na mdle zioła padnie,
A zagorzałe zboża deszcz ożywia snadnie;
Z Twoich rąk wszelkie zwierzę patrzy swój ży-
wności,
A Ty każdego żywisz z Twój szczodroblivości.

Bądź na wieki pochwalon, nieśmiertelny Panie!
Twoja łaska, Twa dobroć nigdy nie ustanie,
Chowaj nas, póki raczysz na tej niskiej ziemi,
Jedno niech zawsze będziemy pod skrzydłami
Twemi.

**Jak sobie kto pościele, tak się też
i wyśpi.**

Nigdzie podobno niema większych narze-
kań na służących, jak u nas, i po większej części

takich, jak oni biedaków; rzeczywiście bowiem jakież ich los na starość, zwłaszcza też po miastach? Zamłodu póki służą siły i zdrowie, zarobiony pieniądź wychodzi na bieżące potrzeby, na starość zaś trzeba wyciągać rękę po jałmużnę, lub chronić się do Dobroczynności, stając się w obudwu razach ciężarem społeczeństwa. Że się tak dzieje, widzimy codziennie; sam pomiędzy innemi znałem przed kilku laty staruszkę, który był w swoim czasie zawołanym kucharzem; że jednak, jak sam wyznał, nie umiał zagrześć miejsca, więc jakkolwiek nie był utracyszem, nie zdołał nic sobie zebrać na stare lata, — i był zmuszony, czy pogoda, czy słota chodzić od domu do domu, to po łyżkę strawy, to po kilka groszy na tabakę, to wreszcie po jaki szmat na okrywek.

Owóż moi przyjaciele! ta chęć ciągłej zmiany służby, główną złego jest przyczyną, — bo ani służący pana, ani pan służącego zamiłować nie może, za czem idzie, że służący taki będąc objętym dla pana, nie doznaje szczególnych jego względów, które jedynie długoletnią, wierną i uczciwą służbą się nabywają, — że przy ciągłej zmianie służby nic sobie nie uciula, boć jak mówi przysłowie: „kamień tylko na miejscu porasta“ — a przysłowia będąc głosem doświadczenia, mieszczą w sobie istotną prawdę, za którą jednak rzadkoidziemy, a wszakże głos ludu, którego przysłowie jest objawem, jest głosem Boga.

Jakie więc są korzyści pilnowania jednej służby, a jak smutne skutki ciągłych jej zmian, następny prawdziwy przykład wam okaże, opowiedziany mi przez starego Grzegorza, jednego z uczestników wypadku.

— Urodziłem się we wsi Wielgie, będącej od dawna w posiadaniu jednej i tej samej rodziny, w której także od czasów niepamiętnych zamieszkała była i rodzina mojego ojca, i dlatego chowała niewygasłe uczucia przywiązania dla całej rodziny państwa. Ojciec mój był kowalem, podów zaś czas nastał był do wsi karczmarz, który miał syna jednego zemną wieku. Otóż obadwa z Antkiem dzieciństwo nasze trawiliśmy na waleśniu się, zwykłym zajęciem naszym zwłaszcza w lecie, była z początku zabawa w piasku, lub przewalanie się na słońcu z boku na bok przez cały Boży dzień, — później szczwanie dziadów lub żydów, gdy się który z nich we wsi pojawił, — wykre-

canie gniazd ptasich, łażenie po płotach, drzewach i dachach, wreszcie zakradanie się do pańskiego ogrodu, by narwać niedojrzałych owoców, od których nieraz ciężko przychorowałem.

Później, gdy byliśmy starsi, obadwa z Antkiem pasaliśmy cieleta lub żrebaki, i tam się najwięcej przyjaźń nasza kojarzyła; wychowanie więc moje było prawie żadnem. Matka nauczyła mnie pacierza i miłowania Boga i Pana, i uczucia te były mi w przyszłości ochroną od pokus, którym uległ mój towarzysz, a które stały się zguby jego przyczyną.

Rodzic mój, i rodzice Antka również przyjaźnili się z sobą, i nieraz naradzali się o naszej przyszłości, — „trzeba ich przecież wy kierować na ludzi“, mówili sobie, ale kończyło się na słowach, — a myśmy rośli tymczasem, jak dzikie drzewa w lesie; — we wsi bowiem szkółki nie było, a w czasie kazania w kościele tośmy woleli drzymać, lub myśleć o psotach, figlach, aniżeli słuchać pożytecznych rzeczy, któreby nas czego nauczyć mogły.

Tak doszliśmy lat 15tu; jakkolwiek byliśmy tylko wyrostkami, różnica w usposobieniach mojem i Antka okazywała się widoczną: ja byłem jakoś powolniejszy i stateczniejszy, Antek zaś żywszy i niecierpliwy. Nieraz pomnę, gdyśmy poszli do jakiej roboty, bo Antek brał się do niej z całą duszą, ale nie umiał w tem wytrwać, prędko go jednostajność nużyła, opadały mu ręce, robota szła oporem, ale przy jej zmianie zapal jego powracał. — Rodzice jakkolwiek go kochali, nie umieli skłonnościami jego pokierować, coby zrazu było łatwo przyszło, gdyż był to najlepszy zresztą chłopak: uczynny, przyjacielski, i dobry towarzysz, tylko jednego statku nie miał, i to go zgubiło.

W tym jakoś czasie państwo potrzebowali do służby, i obudwu nas rodzice oddali do dworu; bo im zdało się przyzwoitszą rzeczą, ażeby synowie ich byli dworskiemi, aniżeli ażeby mieli pozostać rolnikami; chociaż prawdę mówiąc, daleko szanowniejsze i szczęśliwsze powołanie rolnika, lub rzemieślnika, który na swoim pracuje, niż dworskiego, co mało zwykle pracując, na cudzym chlebie zje zęby — chociaż tak w tym, jak i tym stanie, przy poczciwości szczęśliwym i szanownym być można, jakem sam tego na sobie doświadczył.

We dworze Antek, który się jakoś panu lepij z miny podobał, przeznaczony został paniczowi i nauczycielowi jego do usługi, mną zaś, który nie miałem wydzielonego żadnego stałego obowiązku, kto żył w domu, to się posługiwał. — Antek będąc przy paniczu, miał sposobność nauczania się wielu rzeczy, i gdyby był chciał, mógłby się być potem pokierować — nauczyciel bowiem panicza nakazywał mu siedzieć w pokoju przy lekcji — ale się to jakoś Antkowi nie podobało, nie mógł usiedzieć w pokoju, — przykrzyły mu się grymasy panicza, i nieraz wyrzekał gorzko przedemną na dziwactwa starego nauczyciela — a gdym go za to strofował, i nakłaniał do znoszenia tych małych nieprzyjemności, oburzał się na mnie, — mówiąc — „Łatwo tobie perswadować, co tego nie doświadczasz, coś swobodny i szczęśliwy, jak ptak, biegasz po świecie przez dnie całe, kiedy ja jakby za karę siedzieć muszę w pokoju i słuchać zrządzenia, lub mądrych rzeczy, których nie rozumiem, i z których nic mi nie przyjdzie. — O! gdyby państwo przystali, zarazbym zrobił z tobą zamianę, jak pokosztujesz tych słodocy, które tak wychwalasz, to wkrótce inaczej będziesz śpiewał.“

Życzeniu jego wkrótce zadosyć się stało, bo gdy Antek coraz bardziej przykrząc sobie swoje obowiązki, oświadczył nauczycielowi chęć zamiany ze mną swego zatrudnienia, nauczyciel któremu niestałość jego przykrzyć się zaczynała, przystał chętnie na to, i ja objąłem zaraz na jutro za zezwoleniem pana, nowe obowiązki.

Nauczony z małeńka od matki szanować i miłować swych państwa, wymaganiom panicza chętnie czyniłem zadosyć, i przekonałem się, że dobrą wolą i cierpliwością wszystko z nim zrobić było można, i nie było potem lepszego od niego pana, coby tak pamiętał i wynagrodził swego sługę jak on, — za co niech mu Bóg da niebo, bez rozrzewnienia wspomnieć go nie mogę, mówił stary Grzegórz, ocierając rękami łzy ciekące po zmarszczonych jego jagodach, jemu wszystko winienem.

Gdy Grzegórz ochłonął nieco z żalu, tak rzecz swoją dalej prowadził:

Umieszczenie moje przy paniczu napelniło mnie radością, — szczególny jakiś pociąg miałem do nauki; to też w czasie lekcji siedziałem w pokoju jak trusia, czem sobie zjednałem nauczyciela; słuchając tych pięknych rzeczy, któ-

re on paniczowi wykładał, zrodziła się we mnie niezwalczona chęć nauczyć się przynajmniej czytać i pisać. Prośbę moję objawiłem z nieśmiałością i obawą nauczycielowi, ale nad moje spodziewanie dobrze ją przyjął, poklepał mnie po ramieniu, powiedziawszy: dobrze, dobrze, będzie z ciebie człowiek. Odtąd zajął się on gorliwie moją nauką, tak, że w przeciągu pół roku, nauczyłem się nieźle czytać, pisać i rachować. Przez ten czas Antek zmienił po kilkakroć swoje obowiązki, uprzykrzyło mu się wnet bieganie, którego pierwój zazdrościł, a przesiadując częściej w kuchni, aniżeli w kredensie, zapragnął sposobie się na kucharza, poczytując zatrudnienie to za przyjemniejsze. — Gdy więc kuchcik zachorował, podjął się go zastąpić; — nie zabawił jednak w kuchni dłużej nad trzy miesiące, i znowu mu się zajęcie to przykrzyć zaczęło.

W tym czasie przyjechali byli do państwa jacyś krewni z Warszawy, jak się z ich służącymi rozgadywać zaczął, zdało mu się, że nie ma szczęścia jak w mieście, że tam dopiero na człowieka wyjść można, tam dobra płaca, a mała praca. Podziękowawszy więc za służbę, zabrał się z odjeżdżającymi do Warszawy, ja zaś pomimo namów jego, zostałem na miejscu, bom się i coraz więcej przywiązywał do panicza i do starego nauczyciela, wreszcie, żał mi było porzucić moje spokojne zajęcia, przy których zostawało mi dosyć czasu na czytanie i naukę, a przez nie poznawałem coraz więcej prawdy religijnej i moralnej, i nabierałem przekonania, że każdy stan ma swoje przykrości, i że ten tylko zdoła być szczęśliwym, kto się zastosować potrafi do tego, co mu Bóg dał, — że najlepiej ten wychodzi, kto nie goni za lepszym, ale swojego się trzyma.

W lat kilka panicz mający już wówczas lat 15. posłany został do szkół w stolicy, pojechał z nim nauczyciel i ja, z tytułem już lokajami młodego pana. — W Warszawie spotkałem się z Antkiem, wówczas już panem Antonim, jak go inni zwali lokaje, z którymi mię był zapoznał, wszyscy oni odradzali mi dzisiejszą moją służbę. „Przystan do wielkiego pana, mówil jeden, nie będziesz nic robił, a weźmiesz dobre pieniądze“. — „Zostan woźnym, rzekł drugi, umiesz czytać i pisać, dostaniesz kilkadziesiąt złotych na miesiąc, i będziesz urzędnikiem“. — „Załóż handelek lub garkuchnię, radził trzeci, twój ojciec ma się pono

niezłe, to ci przysię pieniądze.“— Nauczyciel wszakże przewidując pokusy, jakie mię spotykać będą w Warszawie, rzekł do mnie na odjeździe. — „Trzymaj się, Grzegorzu, panicza, służ mu wiernie i życzliwie, a zobaczysz, że do śmierci uczciwy kawałek chleba mieć będziesz.“— Utkwiły te słowa w mej pamięci, i wierzyłem im święcie, chociaż się z tej mojej wiary drudzy wysmiewali, a najwięcej Antoni. Wszakże ani ich śmiechy, ani przekąsy osłabić jej nie zdołały, i chociaż trafiała mi się po parę razy bardzo korzystna służba, w której mi dwa razy większe od pobieranych ofiarowano zasługi, jednak jej nie przyjąłem, i nie pożałowałem tego.

Antoni przez tych lat parę w szóstej był już służbie, i bardzo mi ten sposób życia zachwalał, chociaż nie można było powiedzieć, żeby powierzchowność jego za nim przemawiała. — Tak często zmieniając miejsca, trafiało mu się być nieraz przez miesiąc i dłużej bez służby; tracił zwykle przez ten czas to, co na poprzedniej uzbierał służbie, i dlatego też na nim porządną nie było sukni, gdyż nie było jej za co sprawić, lub sprawioną wypadło użyć na życie zastawić. Ja chociaż i połowy tego nie brałem co on, miałem i porządniejszą odzież, i sto złotych uzbieranych w kieszeni.

W ten sposób rzeczy szły dalej, ja ciągle byłem przy paniczku, starszy pan powiększył mi w tym czasie zasługi, i wysłał wraz z synem i nauczycielem za granicę. — Przewidziałem świata niemało, ucierpiałem także niemało w tej drodze, bo gdyśmy już wracając do kraju, przybyli do Drezna, zasłabł nauczyciel. Chorował ciężko i długo i zdziwaczał do reszty. Ja byłem wciąż przy nim, pilnując dniem i nocą, pielęgnowałem go jakby własnego ojca, przez pamięć na udzielane mi przezeń nauki. Po trzech wreszcie miesiącach zacny ten człowiek oddał Bogu ducha, legując w testamencie 45 rubli sr. za moje około niego w chorobie troskliwość, tak, jakbym ja mu dłużnym nie był, że mię uczynił człowiekiem.

W parę lat po powrocie do kraju, pan mój, któremu rodzic wydzielił właśnie majątek, widząc, że na wsi źle jakoś samemu, pomyślał o żonie, — i mnie też, com był od mego pana o kilka lat starszy, podobna myśl przyszła; zachciało mi się własny mieć kącik i ozdobić go pocztową kobietą. Miałem już własnych uzbieranych pie-

niędzy 75 rubli sr., oprócz 45 rub. sr. z zapisu od nauczyciela, mogłem więc pomyśleć i o żonie, i o założeniu jakiego gospodarstwa.

W naszej wiosce nie brakowało hożych dziewcząt, we dworze było ich kilka wcale ładnych, ale nie miałem do nich jakoś serca, — bo to między dworskimi rzadko znaleźć dobrą żonę. — Póki męża nie dostanę, pstrzą się i stroją, — już i dla przywabienia, i że to niby takie porządne i starowne, a jak się dostanę na swoje, to założą ręce, i chcą, ażeby mąż na nie i na dzieci zarabiał, — za to znów w karczmie pierwsze rój wiodą. Zpomiedzy wszystkich tych dziewcząt wpadła mi była w oko Jagusia, córka kołodzieja, którąm widział, jak się nabożnie modliła w kościele, i potem kiedyś się z jej ojcem poznajomiuwszy, odwiedzał go w jego mieszkaniu, tam się przekonałem o jej pracowitości i statku. — Z nią więc postanowiłem się ożenić, i wyjawilem panu moje zamiary. Ucieszył się niemi, ale i zafrasował, myśląc, że go moje ożenienie od niego oddali, — chodził więc po pokoju, wreszcie rzekł do mnie: — „Słuchaj Grzegorzu, pochwalam myśl twoją wejścia w związek małżeński, boć i sam o nim myślę, ale nie mogę zgodzić się na to, byś miał mnie opuścić, — jestem młody, w nowym zawodzie gospodarza, potrzebuję koniecznie doświadczonego w wierności sługi, — i w tem na ciebie rachuję. — W wiosce którą mi ojciec udzielił, w miejscu które sam sobie obierzesz, postawisz i domek i gospodarskie zabudowania, — dam kawał gruntu na ogród, ławkę wyznaczę — osadź tam żonę, bywaj tam u niej, ale mnie nie opuszczaj.“— Nie mogłem się oprzeć takim naleganiom mego pana, chociaż w duszy radbym był osiąść zupełnie ze swoją Jagusią. — Zostałem więc na miejscu, — pomagałem panu w urządzeniu nowego domu, do którego wkrótce młodą żonę wprowadził, — załatwiłem rozmaite państwa polecenia i sprawunki, — pańskiego dobra pilnowałem, jak oka w głowie, — czem pozyskałem sobie wkrótce, obojga państwa zaufanie bez granic, dlatego właśnie, żem go nigdy nie nadużył, — zaczęło poszło, że mi poruczyli nadzór całego domu i wszystkich służących i zwiększyli pobierane zasługi, — Obok niejednego pięknego gościńca (podarunku), którego przywiązaniem słudzenie żalowali, otoczyli szacunkiem, który po-

dzielali nie tylko domownicy, lecz nawet i goście, co do państwa przyjeżdżali.

W dziesięć lat może po wspólném naszym ożenieniu, wysłał mię był pan z panią do Warszawy. — Otóż ubrany ciepło w sutęj lisiurze, bo to było jakoś po Nowym Roku, i mrozy dojmowały, — dumałem sobie o domu, o mojej Jagusi, która mi właśnie szóstego powiła chłopaka, — wtém płacąc w rogatkach kopytkowe, widzę jakiegoś żebraka w łachmanach, zsiniałego od zimna, który przypatrywał mi się z pod chmury, jakby w oczy spojrzeć nie śmiał, — dobyłem więc z kieszeni dziesiątkę i odezwałem się do biedaka: — „Naści bracie, rozgrzej się ciepłem piwem.“ — „Bracie! mruknął tamten, dawno minęły te czasy, kiedyśmy braćmi byli.“ Na te słowa wpatrzyłem się w żebraka, i poznałem w nim mego dawnego towarzysza. Antoni! zawolałem — „Tak, ja to nim jestem, dziwna rzecz, żeś mnie poznał, rzekł z cicha Antoni, bo inni moi znajomi i przyjaciele poznawac mię nie chcą, odkąd mię widzą w łachmanach.“ — Zakreśliły mi się łzy w oczach i dając mu kilka złotych, — „masz to, rzekłem, tymczasem, a jutro przyjdź do mnie do zajazdu na Zimnej ulicy, a tam rozmówimy się lepij.“

Przyszedł nazajutrz Antoni, i opowiadał mi z goryczą, jak nigdy nieszanując najlepszej chociażby służby, nie zagrzawszy nigdzie miejsca, szukał ciąglej zmiany, że przed kilką miesiącami będąc całkiem bez obowiązku, zachorował mocno, i co tylko miał z rzeczy i pieniędzy, to wszystko poszło na chorobę. — Przyszedł nieco do sił przed zimą, ale obdartego i znędnionego nikt przyjąć nie chciał, tem więcej, że świadectwa z krótkiej wszędzie służby do przyjęcia go nie zachęcały, — zapadł więc powtórnie ze zgryzoty, a teraz chociaż ledwie łązić może, wychodzi przecie z poddasza swego wyżebrać choć kilka groszy na kawałek chleba i szklankę piwa..... Scisnęło mi się serce na jego opowiadanie o doświadczonej niedoli, nie śmiałem przyczyniać mu zmartwienia uwagami, lub obrazem mego szczęścia, któryby może był mu wyrzutem, dlatego zapytałem go tylko, w czembym mu mógł dopomódz.

„Niewiele mi się należy już na tym świecie, odrzekł Antoni, czuję się coraz słabszym, jeżeli więc możesz wkupić mię do szpitala, to uczyn to dla miłości Boga, gdyż ja na nią nie za-

sluguję; nie mam już nikogo na świecie, żona, szynkarka rozpiła się i umarła, dzieci dwoje wzięli sąsiedzi z litości, ale zmarniały u nich.“

Zapłakałem gorzko nad losem dawnego towarzysza, postarałem się o wkupne, jak tego żądał Antoni, i nie mało na to wydałem pieniędzy, alem ich nie żałował — pocieszając się tą myślą, że mu ciepłe i wygodne schronienie zabezpieczył. — Tu znowu Grzegórz otarł łzę poświęconą pamięci przyjaciela — poczem tak rzecz prowadził:

We dwa lata, gdy mi znowu za interesem pańskim wypadło być w Warszawie, poszedłem wieczorem do szpitala Dzieciątka Jezus dowiedzieć się, co się dzieje z Antonim; trafiłem właśnie na tę chwilę, kiedy miejscowe działy składali w jedną wielką skrzynię, przy świetle latarki, trupy zmarłych od dni kilku; w ostatnim pomimo zmienionych rysów i śmiertelnej bladeści, poznałem Antoniego; na ten widok zimny dreszcz mię przeszedł, ukląknłem i zmówiłem pacierz za jego duszę; — długo potem uspokoić się nie mogłem i nieraz widziałem we śnie jego obnażone ciało — dałem na mszę do naszego kościoła i na wypominki, i ilekroć ksiądz wygłasza z ambony zaduszki, nie przepomni i Antoniego; — niech tam Pan Bóg świeci nad duszą jego. — Na tem skończył staruszek swoje opowiadanie.

Wiele już lat minęło od owego czasu, a stary Grzegórz żyje dotąd, czerstwem ciesząc się zdrowiem, — od kilkunastu już lat uwolniony ze służby, jako gracyalista, pobiera ciągle dawniejsze zasługi — odwiedza go pan często w jego własnym, porządnym domu i radzi go się w trudnych wypadkach; — już wszystkie dzieci swoje rozposażył, synów umieścił, córki za mąż powydawał. — Gdy przyjdzie kiedy do dworu, cała rodzina pana wita go z szacunkiem i radością, — wnuczki pańskie pną mu się na kolana, wiedząc, jak stary lubi się z nimi bawić; zgoda obchodzą się z nim, jak gdyby do rodziny należał — a na cmentarzu pod ścianą kościoła, niedaleko familijnego grobu państwa, już ma przeznaczony piękny wzgórek, w którym kości swe złoży, kiedy przyjdzie na niego wielka i nieochybna śmierci godzina. — Jakaż i wtém różnica losu jego od losu Antoniego!

Oto i koniec tej prawdziwej powieści. — Oby ona przynieść mogła naukę i przestrożę dla służących, idących śladami Antoniego. — Powtarzając ją ojcowie i matki, wychodzącym na służbę

córkom i synom, niech pamiętają na przysłowie: *kamień na miejscu porasta*, a może ona przynieść wtedy dobroczynny skutek, jaki z zamiłowania jednej służby wynika, a o czem opowiedziane przez Grzegorza wypadki dostatecznie przekonają ich powinny.

Rozmowa w Saskim ogrodzie.

— Powiedz mi panie Jerzy! dlaczego tyle ludzi zawsze się zbiera w lecie i na wiosnę w południe, w Saskim ogrodzie? czy to wodotrysk tak wabi, czy też chęćka wzajemnego przypatrywania się sobie?

— Być może, że i dlatego i dlatego, — ale jest jeszcze ważniejsza ukryta przyczyna, która ściąga tyle słabowitych osób na przechadzkę, lub siedzenie w południe pod cieniem drzew. — Wszystkich tu pomimowolnie ściąga powietrze, które w ogrodzie, w tę szczególnie porę ożywiająca na nas działa.

— A więc ludzie przed słońcem uciekają, snując się po cienistych alejach, żeby chłodniejszego użyć powietrza.

— Nietyle tu idzie o chłodniejsze powietrze, lub uciekanie przed słońcem, ale o to, aby skorzystać z działania słońca. — Wszystkie bowiem rośliny, a więc i w Saskim ogrodzie te rozłożyste kasztany, jakby ciąglą tworzące altanę, pod działaniem słońca wyrzucają przez swe liście pewien gaz, ciało lotne, będące częścią składową powietrza, którem żyjemy. — Ten gaz, co go zowią kwasorodem, ma własność, że się w nim ciała mocno palą, jak np. węgiel, nawet żelazo od hupki zatłonej tak się w nim rozgrzewa, iż się w kulki topi; — a co ważniejsza, ten kwasoród czerpany z powietrzem do płuc, podtrzymuje życie ludzi i zwierząt. — Z tego to więc powodu, wśród drzew i krzewin w południe powietrze bogatsze jest w ten gaz, raźniej się takim powietrzem oddycha, bo ożywczo działa na nasze budowę.

— A jakimże to sposobem kwasoród, który jest rodzajem powietrza, może ożywiać nasze ciało i podtrzymywać życie, kiedy wiemy z codziennego doświadczenia, że do życia potrzeba tylko pożywku?

— Do naszego życia nietylko jadła potrzeba, równie ważnem jest, aby powietrze, które do płuc wciągamy za każdym rozszerzeniem piersi, — było zawsze świeże, miało dostateczną ilość kwasorodu. — Ten gaz wprowadzony do płuc naszych, wsysany bywa przez krew, roznoszony po całym ciele i we wszystkich członkach pali ciała we krwi się znajdujące, i przez to nas ogrzewa.

— Dziwnie to człowiek zbudowany — coś podobnego do parowozu — pali w sobie jakieś ciała, ogrzewa się, i dopiero się rusza.

— Twoje porównanie niezupełnie jest dobre, bo gorenie w nas różne jest od palenia się lampy, świecy. — Gorenie w naszym ciele potrzebuje daleko mniejszego ciepła, jak palenie oleju, i dlatego też ciepło naszego ciała, nie jest tak wielkie, aby parzyło; — jednakże im to gorenie gwałtowniej się odbywa, tym ciepło nasze bywa większe; tak np. biegnąc, gdy więcej wciągamy powietrza, a tym samym i kwasorodu, znacznie się rozgrzewamy.

— Jeżeli więc tak ciągle się w nas pali czyli raczej tli, to powinniśmy się szybko spalić i zagasnąć.

— Toby rzeczywiście nastąpiło, gdybyśmy ciągle nie dodawali do ognia świeżych materiałów palnych, nasze kości, mięso prędkoby się w popiół i dym zmieniły, — ale pożywając pokarmy, utrzymujemy ciepło wewnętrzne, jak płomień lamp przez dolewanie oleju, i dlatego w nas ciągle żar tli i wygasnąć nie może. Z tej to właśnie przyczyny, jak podczas mocniejszego zimna więcej kładziemy drewna do pieca, tak i ludzie, im w zimniejszych żyją okolicach, tym więcej używają pokarmów, a przeciwnie, pod gorącym niebem mało potrzebują do utrzymania życia. — Zrobiono takie spostrzeżenie, że i my zimą chętniej spożywamy tłuszcze, zawierające w sobie więcej węgla i innego gazu palnego bardzo lekkiego, zwanego wodorodem, a przeciwnie w lecie mamy pociąg do jarzyn, owoców, nietyle obfitych w swym składzie w te materiały palne.

— Mnie to jednak dziwi, że skoro w nas tak się ciągle pali, to ciepło nasze powinno się ciągle zwiększać.

— Ciepło w nas powiększać się może do pewnego stopnia; to tak się dzieje, jak gdy na mocnym ogniu w garnku gotujemy wodę, — pło-

mień drzewa coraz więcej udziela ciepła garnkowi, a jednak woda nigdy nie stanie się cieplejszą od waru, czyli gotującej wody; wszystko bowiem przybywające ciepło, obraca się tylko na zamienianie wody w parę, i im więcej płomień go dostarcza, tém gwałtowniej odparowuje.

W nas toż samo ma miejsce, — ciepło ciągle do ciała przybywa, lecz nie zatrzymuje się w niem, ale zużywa się na odparowanie z naszego ciała różnych cieczy, potu i t. p. W ten sposób wszystko się równoważy: w lecie na przykład, ciepło wyrobione z palenia się krwi wraz z ciepłem z samego powietrza, mogą odparować więcej z nas cieczy, i dlatego więcej się pocimy.

Takie jednostajne ciągle w nas ciepło nazywamy ciepłem zwierzęcem, — i u różnych istot bywa w różnym stopniu, co zależy od mocy oddychania. — Ptaki, które najsilniej oddychają, są najcieplejsze ze wszystkich zwierząt; przeciwnie żaby, węże, jaszczurki, ryby, mają oddech bardzo powolny, słaby, nie mogą ogrzać zbyt swego ciała, i dlatego nazywamy je zwierzętami *zimnokrwistemi*, dla odróżnienia od zwierząt ssących, np. psów, kotów, niedźwiedzi, koni, które mają krew ciepłą.

— Lecz niedźwiedzie, jeże zasypiają na zimę, nie nie jedzą przez cały ten czas — a jednak nie zmarzną i z wiosną przebudzają się, i ożywają.

— Prawda — wiele zwierząt przepędza po kilka miesięcy w ciągłym śnie zimowym — i wtedy ich oddech prawie ustaje, jako niepotrzebny do spalania części pozostających w ciele z pokarmów — dlatego też ciepło takich zwierząt podczas snu jest znacznie mniejsze, jak w lecie, ale zawsze są one cieplejsze od otaczającej ziemi lub śniegu.

— A z kądże się bierze i ta trocha ciepła u zwierząt ciągle śpiących, które nie nie jedzą?

— Widzisz tak: — pod koniec jesieni zwierzęta, które w zimie zasypiają, są tłuste i w tym stanie otyłości sną; wtedy ich własny tłuszcz tuli się powoli przy słabym oddechu i trochę ciało ogrzewa, i ztąd to poszła bajka, że zimą niedźwiedź ssie swoje łapy. Skoro zaś obudzą się na wiosnę, są chude, słabe. — Podobne zjawisko odbywa się i na innych zwierzętach, a nawet i ludziach zgłodniałych, naprzód spada z nich tłuszcz, potem giną mięsa, a w końcu dopiero, gdy zabraknie paliwa, cała budowa ginie, lampa gaśnie.

— Straszne to, muszą być cierpienia przy śmierci głodowej, jakież to męczarnie ludzie ponosić muszą zimą lub na przednówku, gdy chleba zabraknie; nie darmo to nasz kościół do cnót policzył.

„Zgłodniałego nakarmić,

Spragnionego napoić.“

Mały terminator.

We wsi Wilga, Rogowska propinatorka wzięła na wychowanie troje dzieci po zmarłej swej córce.

Gdy najstarszy Alexander skończył lat 9, babka chcąc mu los zapewnić, postanowiła go oddać do terminu. Na samą wzmiankę rozstania się, płakał chłopczyna rzewnie, lecz babka perswadowała, upewniając, że ten majster, jako dawno jej znajomy i kum, nie zrobi mu żadnej krzywdy. I zajęła się Rogowska wyprawą, obmyślała, oparała rzeczy chłopczykowi, i powtórzywszy codzienne swoje nauki, żeby był pobożny, posłuszny i pracowity, odwiozła go do Warszawy, nie zapominając o podarunkach dla majstra. — Nie omyliła się Rogowska w nadziei; podarunki zjednały majstra, i z radością przyjął zdrowego i pracowitego chłopczyka. Lecz jak tylko Rogowska wyjechała, szewc zaczął Alexandra używać do ciężkiej pracy i do ciągłych posług, zapomniawszy, że mały chłopczyk nie ma sił ani umiejętności dorosłego człowieka. Wśród zimy posyłał go majster lekko odzianego za rozmaitemi interesami. Nieraz trudno się było dostać do jatki lub sklepu przez wielki natłok ludności, musiał więc i chłopczyk czekać, nim się docisnął przez tłum zebranych ludzi; za powrotem czekała go zawsze chłosta niezаслужona, że długo bawił. Płakał Oleś dnie i noce; nikt go nie słyszał, tylko Bóg obrońca sierot, doświadczając go chwilowo,

I tak od dnia do dnia cierpiał chłopczyna, aż go nowe spotkało nieszczęście. — Chodząc po zimnie i sypiając w nieopalonej komóreczce, odziebił sobie nogi tak dalece, że wcale nie mógł chodzić. — Jak tylko stał się nieużyteczny, nieludzki majster wypędził go prawie nagiego wśród najostrzejszej zimy.

Wyszedł sierota kulawy ze łzami w oczach, niewiedząc gdzie się udać, i kiedy Lesznem przechodził koło kościoła, zobaczył siedzących że-

braków. Zwabiony przez drugiego chłopczyka, wmieszał się w ten tłum nędzy, i odtąd przepełdzał dnie na zebraniu.

Pani K. P. obywatelka z Ogrodowej ulicy zwróciła uwagę na chłopczyka, a widząc jego kalectwo i lekki ubiór, przejęta litością, przywołała go do siebie, i wypytała o wszystkie szczegóły, tyjące się jego losu.— Skoro się dowiedziała, że nie ma nikogo znajomego w Warszawie, wzięła natychmiast chłopczyka i zawiozła do szpitala Dzieciątka Jezus, a do Babki napisała o nieszczęściu wnuka. Przyjechała Rogowska, tkliwie podziękowała zacnej pani, a nad biednym Olesiem niemało łez wylała. Lubo stan zdrowia jego znacznie się polepszył, ale jeszcze odebrać go ze szpitala nie mogła, i do tej pory znajduje się on pod opieką miejscowych doktorów w szpitalu, gdzie siostra Apolonia Bronikowska szczególną otacza go troskliwością. Ta czuła siostra z niewypowiedzianą troskliwością koi cierpienia małych pacjentów, i swem sercem matką jest dla wszystkich.

I pani K. P. często go także odwiedza i mądrymi darami wspiera. A gdy Alexander Borowski przyjdzie do zdrowia, szukać znowu będzie miejsca u majstrów. Oby Bóg dopomógł sierocie znaleźć lepszego przewodnika i opiekuna!

Zły pieniądz.

W niezamożnym domu, gdzie wydatek dzienny nie przechodził ośmiu złotych, pani posłała kucharkę do miasta, rozpowiedziawszy jej dokładnie, co kupić potrzeba. Maryanna poszła, i wróciła, przyniosłszy wszystko według danego sobie zlecenia.

Przy obliczeniu wydatków i zdaniu reszty, pokazało się, że Maryanna przyniosła zły pieniądz, który przekupka dała jej za dwa grosze.

—Nieuważna jesteś, moja Maryanno, rzekła jej pani.—„Niech mi pani wybaczy, prosiła Maryanna, już ja tak zrobię, że się ta szkoda wróci.“

I na tem się skończyło.

Tego samego dnia po południu, człowiek ubogi zastukał do drzwi, prosząc o jałmużnę. Pani dobywając grosz z woreczka, — rzekła: Maryanno, zanieś ten grosz dziadkowi.

Maryanna wyszła z groszem, wydobyła zły

pieniądz z kieszeni, i powiedziała: Dziadku, dajcie mi grosz reszty, dostaniecie dwa.

Ubogi staruszek w dobrej wierze, zrobił, jak dziewczyna mówiła, i odszedł w Imię Boże. Maryanna wróciła z dwoma groszami do pani, oddając, rańsze.

—Złeś uczyniła! moja kochana, rzekła jej poczciwa kobieta, która siedząc w pokoju, wszystko słyszała i domyśliła się, co zaszło. Idź czempredź, wołaj dziadka, niech się wróci.

Maryanna spiesźnie wykonała ten rozkaz, dziadek wszedł do pokoju.

—Mój dziadku! macie wasz grosz i drugi w dodatku, bo pieniądz, któryście dostali, nie nie wart.

—Panie Boże zapłać, rzekł staruszek uradowany i odszedł; a Maryanna stała zawstydzona, bojąc się gniewu pani.

—Moja Maryanno, rzekła pani, nie chcę posadzać cię o złe serce, pragnę jednak szczerze, abyś więcej zastanawiała się nad twemi czynami.

—Dla dogodzenia mi zwiodłaś ubogiego, któremu ja pomódz chciałam; ukrzywdziłaś go o dwa grosze, biorąc jeden jego dobry grosz w zamian za zły, nie dając nadto drugiego, który ja dlań przeznaczyłam.

—Czy myślisz, że to mało? wierzą mi, grosz ubogiego tyle wart, co tysiące bogacza; i nie mniej cięży na sumieniu jak kajdany, które wkładają na ręce i nogi tych, co tysiące cudze sobie przywłaszczyli.

Kucharka odeszła, całując ręce pani w pokorze; była to dobra dziewczyna.

Pani patrząc za nią, myślała: biedna Maryanna z przychylności ku mnie, popełniła złe, które dzięki Bogu, naprawiłam. Z dobroci serca zgrzeszyła; nie miałabym odwagi o to się gniewać.

A my tu dodamy: Szczęśliwa sługa u takiej pani; oby każda równy wzór i zachętę do dobrego znalazła!

Sprostowanie.

W numerze 25 Czytelnicy, na stronie 16j, w wierszu 5ym drugiej szpalty, zamiast wyrazu *życia*, ma być *panowania*; Władysław bowiem Jagiełło Król urodził się r. 1348:— wstąpił na tron Polski r. 1386— a umarł r. 1434. Żył więc lat 86, a panował w Polsce 48.

KONIEC PÓŁROCZA PIERWSZEGO.